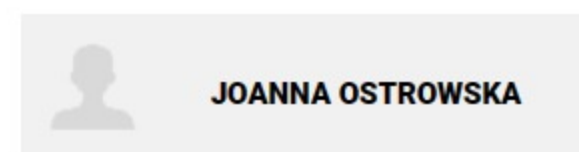


Jesteś tutaj: [Strona główna](#) | [Recenzje](#) | [Niedosyt](#)

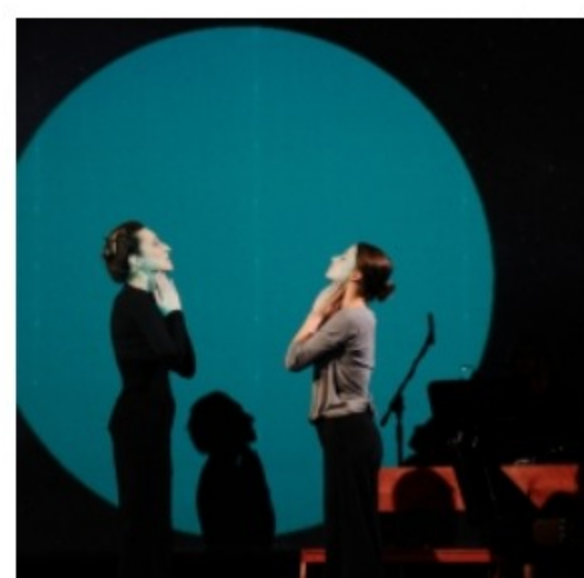
Niedosyt

Opowieści zimowe, koncepcja insceniz. Janusz Kruciński, Teatr Muzyczny w Poznaniu

JOANNA OSTROWSKA

Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu

A A A



Fot. Radosław Lak

A jednak spektakl, jaki można było zobaczyć na poznańskiej scenie, pozostawił po sobie pewien niedosyt. Stało się tak głównie dlatego, że realizatorzy sprawiali wrażenie, jakby nie do końca mogli się zdecydować, co chcą zrobić: recital piosenek czy raczej spektakl-monodram muzyczny. Osobiście skłaniałabym się raczej ku temu, że zobaczyliśmy recital, a próby nadania mu kształtu jakiegoś zainscenizowanego przedstawienia raczej mu zaszkodziły, niż pomogły i nie wniosły niczego interesującego ponad to, co już było w samych utworach muzycznych.

W programie spektaklu można przeczytać, że „pomysł i opieka artystyczna” są dziełem Piotra Deptucha – zastępcy dyrektora do spraw artystycznych, a „koncepcja inscenizacyjna” – Janusza Krucińskiego, grającego gościnnie w Muzycznym Jekyllu. Nie wdając się w teatrologiczne rozważania, który z panów w związku z takim podziałem funkcji konkretnie czym się zajął w *Opowieściach zimowych*, miałam wrażenie, że było to przedstawienie niedoreżyserowane, a jego inscenizacja poszła po linii najmniejszego oporu. Spektakl sprawiał wrażenie, jakby został skonstruowany w myśl zasady: mamy rewelacyjne piosenki, więc wystarczy do nich dołożyć jakiś obrazek w tle (projekcje multimedialne w zaproszeniu nazwano „malarsko-inscenizacyjnymi”) i jakieś działanie (czyli trochę ruchu na scenie), a już będzie dobrze. Otóż nie było, ponieważ zabrakło w tym wszystkim spajającego całość reżysera i w konsekwencji plan inscenizacyjny składał się niemal z samych tautologii. Krzemień śpiewała o padającym śniegu – na projekcji w tle pojawiły się białe plamki wyglądające jak śnieżyca; śpiewała o łzach kąpiących na dawny miłosny list babci – w projekcji mieliśmy pisany odręcznie list, na którym, w momencie kiedy padły słowa o płaczu, pojawiły się plamki odbarwień – efekt, jaki dają krople padające na pismo atramentowe; kiedy Krzemień śpiewała o rzece, towarzysząca jej postać lała wodę na jej dłoń i tak dalej. Ostatniej, dodanej przez twórców do oryginalnego cyklu piosence *Coś ci powiem* Barbary Ahrens, będącej rozmową z malutkim synem, towarzyszył kiczowaty obrazek małego dziecka wbiegającego do morza o zachodzie słońca. Całkiem jakbym oglądała domorosłe teledyski zamieszczane do romantycznych utworów na YouTube.

Tym tautologiom towarzyszył także wizualny chaos na scenie. Bo oto z jednej strony mieliśmy jakieś „gdzieś” zasugerowane projekcjami oraz czerwoną parkową ławką, a z drugiej – sporą część sceny (przyslanając również część „projekcji malarsko-inscenizacyjnych”) zajmowało czworo muzyków grających na instrumentach smyczkowych. Kolejna trójka (w tym całkiem spory fortepian) ustawiona była za ławką, co razem dawało wrażenie tłoku na scenie. Kiedy Krzemień czy towarzysząca jej postać (Zofia Grażyńska) przemieszczały się w głąb sceny, znikaly za muzykami i całe wrażenie istnienia jakiejś przestrzeni wyobraźniowej też znikalo. Zresztą z budowaniem takiej przestrzeni generalnie nie było najlepiej, ponieważ poszczególne piosenki następowały bezpośrednio po sobie i nie były uzupełnione żadnymi, choćby minimalnymi scenkami-łącznikami czy działaniami, które tworzyłyby jakąś narrację. Zapewne taką teatralizującą rolę pełnić miała niema postać, która z namaszczeniem, w wolnym tempie snuła się po scenie, co jakiś czas wyjmując z walizki i podając Krzemień rozmaite przedmioty. Kim była ta postać? Dalibóg, nie potrafię powiedzieć (w słowie wstępnym przed spektaklem Piotr Deptuch nazwał ją „alter ego bohaterki”). W efekcie cały spektakl był zbiorem piosenek opowiadających bardzo smutną historię kobiety cierpiącej po rozstaniu z mężczyzną. Bohaterka nie robi nic innego, tylko cierpi: pada śnieg – cierpi, cierpi zastanawiając się, gdzie jest jej miniona miłość, widząc miłosne listy babci, sprzedawcę książek w deszczu, śniąc o ukochanym, tęskniąc za jego widokiem czy stojąc nad brzegiem rzeki, a kiedy wreszcie zobaczy go na ulicy – prosi, by nawet nie mówili sobie „hello” i... cierpi. Pozostawienie w przedstawieniu wyłącznie szkieletu z piosenek podawanych w jednostajnie dramatyczny sposób i nieuzupełnienie go niczym dobudowującym kontekst dla utworów muzycznych powodowało, że cała historia była przede wszystkim dość monotonna. Być może znów przyczyną pozostawienia samych piosenek Yestona, bez umieszczania ich w jakiejś bardziej rozbudowanej narracji, są ograniczenia licencyjne, ale niestety dzieło, które zaprezentowano widzom, wyraźnie na tym ucierpiało. Może więc lepiej byłoby, gdyby konsekwentnie pozostawić piosenki właśnie wyłącznie jako recital, całą uwagę skupiającą na śpiewającej Krzemień? Jej występ był wystarczająco dobry i ciekawy.

Nie mam jednak wątpliwości, że nowa premiera będzie frekwencyjnym sukcesem – znakomicie wpisuje się w *duszoszczypatelno*-nostalgiczne opowieści o życiu, które tak lubią widzowie poszukujący w teatrze „prawdziwego życia” w jego tragizmie, złożoności i beznadziei (bo koniec końców okazuje się, że bohaterka nie dość, że została porzucona, to jeszcze była w ciąży). Do tego sukcesu niewątpliwie przyczyni się także Krzemień, która swoim niesamowicie wysokim głosem, nadającym śpiewanym przez nią piosenkom nuty nieledwie historyczne, bardzo dobrze zaśpiewała utwory Yestona. Powtórzoną na bis piosenką o miłosnych listach babci artystka udowodniła, że gdyby zrezygnować z tych wysiłków inscenizacyjnych, nie wpychając jej w gorset roli cierpiącej kobiety, i pozostawić jej możliwość po prostu zaśpiewania, efekt końcowy byłby o wiele lepszy. W „spektaklowym” wykonaniu tego utworu aktorka klęczy na scenie i przeżywa na smutno; w bisie stoi, a jej ciało frazuję podobnie jak muzyka. Drobne gesty, przyruchy, wygięcia ciała, uśmiech nadają piosence zupełnie innego wymiaru – nadal jest to nostalgiczna piosenka o tęsknocie, ale równocześnie jest w niej jakieś ciepło, dystans i pogodzenie się z tym, że różne miłości innych ludzi także przemijają. Dzięki temu piosenka brzmiała o wiele lepiej, swobodniej, naturalniej. Pozwolenie na dodanie emocji przez samą wykonawczynię być może pomogłoby w przełamaniu jednostajności środków wyrazu używanych w samym przedstawieniu.

W ubiegłym sezonie Teatr Muzyczny wystrzeliwał z siebie premiery z szybkością karabinu maszynowego. W ten sposób zaledwie w ciągu roku zbudował całkiem nowy repertuar, co – jak można by przypuszczać – daje czas na staranne przygotowanie nowych premier. *Opowieści zimowe* są zaledwie drugą premierą od października. Dlaczego więc sprawiają wrażenie czegoś przygotowanego tak niedbale?

15-02-2016

GALERIA ZDJĘĆ

OPOWIEŚCI ZIMOWE, KONCEPCJA INSCENIZ. JANUSZ KRUCIŃSKI, TEATR MUZYCZNY W POZNANIU



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr Muzyczny w Poznaniu
Maury Yeston
Opowieści zimowe
przekład: Lesław Haliński
pomysł i opieka artystyczna: Piotr Deptuch
koncepcja inscenizacyjna: Janusz Kruciński
projekcje malarsko-multimedialne: Anna Pelc
opracowanie instrumentalne: Jakub Kraszewski
kostiumy: Katarzyna Barcik, SOLAR
światło: Tomasz Filipiak, Bogusław Michalak
obsada: Edyta Krzemień, Zofia Grażyńska, muzycy Orkiestry Teatru Muzycznego
premiery: 7.02.2016

TAGI: [Piotr Deptuch](#), [Maury Yeston](#), [Janusz Kruciński](#), [Poznań](#), [Teatr Muzyczny](#)

Udostępnij

SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:jeden razy osiem jako liczbę: 

KOMENTARZE (0)